



Teraz My!

3²⁰⁰²

Pismo promujące twórczość uczniów
XXI Liceum Ogólnokształcącego im. Hugona Kołłątaja

W numerze

Aniołowie z Hiroszimy	1
Kłątwa	4

Teraz My!

Numer jedenasty, rok drugi

Redakcja:

Epika

Zbigniew Łukowski 2a

Magdalena Zembrzuska 1f

Agata Wójt 1f

Eseistyka

Karolina Siwek 2a

Monika Auguścik 2a

Joanna Chacińska 1f

Marta Krzemińska 1f

Liryka

Karolina Wełnicka 2a

Marta Bereza 1f

Dominika Ruszkowska 1f

Wydarzenia kulturalne

Karolina Wełnicka 2a

Rysunki

Jerzy Kołakowski 2a

Marta Krzemińska 1f

Felieton

Jerzy Kołakowski 2a

Opieka dydaktyczna i pedagogiczna

mgr Grażyna Różewicz

Opieka edytorska

mgr Aleksandra Wróblewska

Adres internetowy:

<http://liceum21.ids.waw.pl/gazeta.htm>

Aniołowie z Hiroszimy

Agnieszka Cebo, kl. 4a

Tragedia, jaką było użycie broni jądrowej latem 1945 r. dotąd wywołuje wiele reperkusji. Faktem najbardziej szokującym jest to, że w ciągu kilkunastu sekund zginęły dziesiątki tysięcy ludzi. Wprawdzie znano już w owym czasie przypadki zrównania z ziemią całych miast (np. Warszawy), metodycznej zagłady milionów istnień ludzkich w obozach koncentracyjnych, ale nigdy nie trwało to tak krótko. Ludzkość dowiedziała się, że wystarczy jedna decyzja, aby unicestwić życie na Ziemi. Wielu przewidywało apokalipsę, ostateczną zagładę, której dokonają ludzie samodzielnie, bez pomocy Boga. Przekonanie to podtrzymywały późniejsze wydarzenia — „wyścig zbrojeń”, prowadzony przez mocarstwa świata, doskonalenie metod zabijania (broń wodrowa).

Katastrofa II wojny światowej, a w szczególności doświadczenia Hiroszimy i Nagasaki, wpłynęły na zmianę światopoglądu współczesnego człowieka. Poczucie ciągłego zagrożenia wywołało w ludziach reakcję, którą jest rozpaczliwy hedonizm. Diametralnie zmienił się także pogląd w sprawach wiary i wizerunek Boga. Wiersz Małgorzaty Hillar „Aniołowie z Hiroszimy” jest przykładem takiego przewartościowania i zupełnie nowego sposobu widzenia Boga.

Pierwsza strofa zawiera elementy harmonii — biel i wrażenie spokoju.

W białej łódce z obłoka płynął Pan Bóg i mruczał

Aniołowie z Hiroszimy

*W białej łódce
z obłoka
płynął Pan Bóg
i mruczał*

*Tyle się namęczyłem
aby im stworzyć
krowy mleczne
ryby śpiewające*

*Wszystko
tak mi się udało
że postanowiłem
nigdy nie urządzać
końca świata*

*ale ci głupcy
stworzeni na obraz
i podobieństwo moje
ci głupcy*

*Nie denerwuj się
Panie Boże
jesteś już bardzo stary
szepłali aniołowie
z Hiroszimy i Nagasaki
wiosłując białą łódką
Pana Boga*

Małgorzata Hillar

Obraz ten przypomina wizerunek Stwórcy kreowany w okresie renesansu i baroku. Zakłóca go jednak ostatni wers, mówiący, że Bóg „mruzczał”. Jest to szokujące określenie, gdyż nadaje Bogu cechy typowo ludzkie. Wprawdzie w filozofii chrześcijańskiej istniały pojęcia Boga zarówno jako srogiego i pełnego majestatu Stwórcy (średniowiecze, barok), jak i opiekuńczego Ojca (np. renesans), ale nie porównywano Go w tak wyraźny sposób do człowieka. „Mruczenie” kojarzy się bezpośrednio z niezadowolaniem lub wręcz z bezsilnością. Następne strofy wyjaśniają zasygnalizowane tutaj rozżalenie Boga. Stworzyciel czuje, że nie jest doceniany. Z rozgoryczeniem mówi:

Tyle się namęczyłem

Okazuje się, że cały boski trud poszedł na marne. Ludzie mieli zapewnione dostatnie życie — „mleczne krowy”, a także strawę duchową, rozrywkę — „ryby śpiewające”. Bóg obmyślił wszystko skrupulatnie, zadbał o to, aby człowiekowi niczego nie brakowało, aby mógł się poczuć panem Ziemi. Bóg wykreował dla człowieka najlepszy ze światów.

„Wszystko tak mi się udało” mówi zadowolony z aktu stworzenia. Wydaje się, że nawet dla Boga nie było to rzeczą prostą. Wymagało ogromnego wysiłku i skupienia, bo łatwo mógł się wkraść jakiś brzemienisty w skutkach błąd. Bóg był zadowolony ze swego dzieła. Zaplanował wprawdzie zagładę stworzeń i poinformował o tym ludzi, ale trudno było mu unicestwić efekt tak pieczołowicie wykonanej pracy. Postanowił więc

nigdy nie urządzać końca świata

Liczył na to, że będzie współistniał w harmonii z rodzajem ludzkim. Jednak człowiek okazał się istotą niewdzięczną. Był wciąż niezadowolony z tego, co dał mu Bóg. Próbował zmieniać świat według własnych upodobań. „Ci głupcy” sądzili, że mądrością i umiejętnościami mogą dorównać

Bogu. Niestety, zostali stworzeni jedynie „na obraz i podobieństwo...” Boga. Są tylko Jego odbiciem, tak jak świat rzeczywisty według Platona jest tylko mierną kopią idei. Ludzie, popełniając grzech pychy, nie musieli oczekiwać kary boskiej, gdyż sami przeobrazili swoją egzystencję w pasmo nieszczęść i katastrof. Przysporzyli tym wielu cierpień nie tylko sobie, ale i Bogu, który poczuł się zawiedziony i rozczarowany nimi.

Małgorzata Hillar postawiła tutaj tezę, że zło w świecie pochodzi od człowieka, wynika z jego głupoty i krnąbrności. Bóg wielokrotnie starał się wskazać człowiekowi drogę, którą powinien podążać. W dekalogu zawarł przykazania mające ułatwić ludziom osiągnięcie szczęścia w życiu doczesnym i po śmierci. Człowiek jednak okazał się tępym uczniem. Mimo tego, Bóg nie tracił cierpliwości i zesłał między ludzi swego Syna, aby uczył ich własnych przykładem. Szybko o tym zapomnieli, aby po niespełna dwudziestu wiekach urządzić sobie własną apokalipsę w postaci II wojny światowej oraz tragedii Hiroszimy i Nagasaki.

Piąta strofa jest ostatecznym odejściem od problematyki ziemskiej. Oczy nasze ponownie skierowane są na Boga. Okazuje się, że agonია świata nie pozostaje bez wpływu na istnienie Boga. Ciągłe troski i nieszczęścia przyczyniły się do tego, że Stwórca starzeje się:

jesteś już bardzo stary szeptali aniołowie

Co za tym idzie, podobnie jak świat, czeka Go śmierć. Stwierdzenie to przypomina tezy filozoficzne XIX-wiecznego niemieckiego myśliciela — Mainländera, który mówił, że rozwój świata jest równoznaczny z rozpraszaniem się energii boskiej, a koniec świata oznacza także śmierć Boga.

W ostatniej strofie pojawia się dość osobliwe stwierdzenie, że obecnie to człowiek jest odpowiedzialny za losy Boga a nie odwrotnie.

Stwórca, ukazany jako schorowany (nie może się denerwować), „mrużący” staruszek pozostaje obecnie pod opieką aniołów „z Hiroszimy i Nagasaki”, którzy wioślują Jego „białą łódką”.

Według mnie te tajemnicze istoty, to niewinne ofiary katastrofy. Według wierzeń chrześcijańskich każda ofiara tak ogromnego nieszczęścia zostaje oczyszczona i dostępuje łaski przebywania przy Bogu.

Po wydarzeniach w Hiroszynie i Nagasaki Bóg nie ma już siły przyglądać się temu, co z jego dziełem robią ludzie. By czymś się od nich odróżnić zrezygnował także ze swej potęgi niszczenia. Postanowił opuścić świat i pozostawić człowieka samemu sobie. Dlatego odpływa w „białej łódce”.

W utworze tym pojawia się także bardzo istotny problem odpowiedzialności za zbrodnie popełnione w XX wieku. Niektórzy ludzie są skłonni do przypisywania winy Bogu, który stworzył człowieka niedoskonałego, zdolnego do popełnienia najstraszniejszych rzeczy. Małgorzata Hillar twierdzi jednak, że ludzie nie mają prawa w ten sposób rozgrzeszać swojego postępowania, ponieważ to oni przez głupotę sprzeciwili się planom Bożym i ściągnęli na siebie katastrofę.

Wiersz Małgorzaty Hillar pt. „Aniołowie z Hiroszimy” przeraził mnie. Cała moja wiedza o życiu — dziewiętnastoletniego człowieka kończącego szkołę średnią — podpowiada mi bowiem, że groźba powtórzenia się tej tragedii jest wciąż aktualna. Historia przypomina, że ludzkość rzadko uczy się na własnych błędach i nawet najtragiczniejsze wydarzenia nie są w stanie skłonić jej do rezygnacji z drogi, która może prowadzić prosto ku ostatecznej zagładzie.

Klątwa

Pokątnik Złowieszczek, kl. 5x

Morze Rhun jest wysunięte daleko na wschód Śródziemia. Mało kto się nad nie zapuszcza, gdyż są to okolice niezbyt dobrze znane, a klimat panuje tam ciężki. Co prawda kilku ciekawskich wędrowców wybrało się nad jego zachodni brzeg, ale nikt nie zdobył się na to, by pójść dalej, w głąb krainy o tej samej nazwie. Żyło tam plemię ludzi przyzwyczajonych do trudnych warunków pogodowych i prowadzące raczej osiadły tryb życia. Nie mieli skłonności do podróżowania, wystarczało im to, co znaleźli w swojej krainie. Właściwie perspektywa opuszczenia rodzinnego kraju przerażała ich.

Całe królestwo wywodziło się od pewnej armii, która zawędrowała tu uciekając przed przeważającymi siłami wroga. Oddziałem tym dowodziła kobieta, wojowniczką Arsena. Dawno temu rzucił na nią klątwę czarnoksiężnik Baar. Brzmiała ona tak:

*Gdy wnuk twój z wnuczką swoją się ożeni,
na świat przyjdzie dziecko z sercem i duszą w czerni,
zaś po ukończonym życia siedemnastym roku,
dostanie we władanie potęgę całą mroku,
wtedy to świat pójdzie pod dziecka władanie,
w którego sercu ni krzty litości nikt nie zastanie,
a nim osiągnie potęgi swojej wiek
nie będzie mógł go skrzywdzić on sam ni inny człek.*

Arsena podjęła wtedy jedyną decyzję, która mogła uratować świat przed spełnieniem się klątwy. Postanowiła, mimo pękającego z bólu serca, zabić swoich dwóch synów i córkę.

Na wieść o tym jej dzieci uciekły. Córka, Lienida, zmarła w drodze. Zaś synowie, Barion i Garidor, wydostali się do centrum Śródziemia i świadomi ciężkiej na nich klątwy rozeszli się. Pierwszy — na północ, drugi — na południe.

* * *

Obecnie kraina Arseny nazywa się Razan. Pamięć człowieka jest dobra, za to społeczności ludzkiej bardzo krótka. Nikt już nie pamiętał o klątwie rzuconej przez Baara. Co prawda minęło sporo czasu od tamtego wydarzenia. W dniu dzisiejszym nikt nie zwracał uwagi na przybyszów ani ich pochodzenie. I przy tej gospodarce, jaką wybrało sobie państwo, nikt nawet nie byłby w stanie tego robić, bowiem ludność żyła tu z handlu. Razan słynął z wyrobów metalurgicznych w całym Śródziemiu. Krążyły nawet opinie, że tutejsza ludność doścignęła w tym rzemiośle kowali elfów. Jednocześnie wyroby znad brzegów morza Rhun były o wiele tańsze i łatwiejsze do zdobycia niż elfickie. Państwem rządził rozsądny i mądry król imieniem Farindor. Miał poparcie ludu i cieszył się dużą popularnością.

Sypał śnieg. Nie opadał płynnie na ziemię, tylko po prostu sypał. Miało się wrażenie, że został skonstruowany specjalnie, żeby wdzierać się pod płaszczy i powodować dreszcze. Pośród tej zamięci można było wypatrzeć coś wyglądającego jak zaspą. Dopiero z bliska stawało się widoczne, że to kobieta — prawie całkiem przysypana śniegiem. Leżała na szlaku. Pewnie zmierzała do miasta. Szanse na to, by ktoś znalazł ją i uratował, były nikłe.

Nikt bowiem nie wyruszał do Razanu podczas zimy. Tym razem jednak jej się poszczęściło.

Przez zamieć dała się widzieć wysoka, szara postać zbliżająca się do kobiety. Był to dobrze zbudowany mężczyzna, z długimi, sięgającymi aż do pasa, blond włosami. Nosił skórzany płaszcz i mimo mrozu nie miał nic na głowie. Jego cera była jasna. Choć miał ostre rysy, twarz wydawała się wiecznie uśmiechnięta. Może dzięki zmarszczkom w kącikach oczu i ust. Spojrzenie było spokojne i trochę wyniosłe.

Kobieta również miała blond włosy i niebieskie oczy, lecz w przeciwieństwie do mężczyzny była smukła i delikatna. Podniósł ją i, jakby nie czując ciężaru, poszedł dalej znikając w zamieci płatków śniegu niesionych wiatrem. Podczas wędrówki nie wydarzyło się nic ciekawego, prócz spotkania kilku wilków, które jednak nie odważyły się zaatakować.

I tak, po przejściu około dziewięciu kilometrów, przekroczył bramę miasta. Mimo iż był tu pierwszy raz, czuł się tak, jakby wrócił po latach do domu. Nie zastanawiając się nad tym poszedł dalej w głąb miasta. Wiatr na moment rozgonił chmury i można było zobaczyć słońce chylące się już ku zachodowi. Pora poszukać noclegu.

Przekroczył próg karczmy «U Sallafina». Gdy tylko to zrobił, wszystkie rozmowy ucichły i cała uwaga gości oberży skupiła się na nim. Bo oto w jednej z najzimniejszych krain Śródziemia pojawia się, w środku zimy, lekko ubrany, olbrzymi mężczyzna z młodą kobietą na rękach. Pierwszy odezwał się gospodarz:

— Witaj w moich skromnych progach! Na pewno przybywasz z daleka. Poznaję po twoim stroju. Nazywam się Sallafin, to moja gospoda. Byłbym rad, gdybyś powiedział nam, co cię sprowadza w te strony i czy mogę jakoś pomóc tobie lub twojej towarzyszce.

— Moje imię brzmi Krisznak, a przybywam z południa. Tyle na dziś o mnie. A co do pomocy, to możesz mi odstąpić pokój po rozsądnej cenie — już odchodził, gdy nagle odwrócił się i dodał — I daj mi jeszcze dzban wina.

Gospodarz, niezadowolony ze skromnej odpowiedzi, która nie zaspokoiła jego ciekawości, mruczając coś pod nosem podał Krisznakowi wino i wskazał pokój. Gdy gość wchodził na piętro, schody mocno skrzypiały, a przechodząc przez drzwi musiał się schylić. Kiedy zniknął w głębi pokoju, ludzie zaczęli znów rozmawiać. Tym razem wszyscy na jeden temat.

Krisznak rozejrzał się po izbie. Była raczej skromna. Stało w niej jedno łóżko, a deski podłogi były bardzo przetarte. W dwóch oknach, z lekko przybrudzonymi szybami, odbijał się blask ognia, wesoło skaczącego po drewnie wrzuconym do kominka. Było to jedyne źródło światła. Podróżnik położył kobietę na łóżku i podsunął jej pod nos jakieś wonne zioło z woreczka, który miał przypięty do pasa. Już po chwili dziewczyna ocknęła się, podniosła na łóżku i czujnie rozejrzała po pokoju.

— Kim jesteś i co ja tu robie? — spytała podniesionym głosem.

— Spokojnie — odpowiedział mężczyzna podając jej dzban z winem — Nazywam się Krisznak. Znalazłem cię na drodze i przyniosłem tutaj.

— Jeśli mówisz prawdę, to jestem ci winna przeprosiny i podziękowanie. Jestem Anemeke. Pochodzę ze starego lasu.

Tak poznali się Krisznak i Anemeke. Po jakimś czasie ich znajomość przerodziła się w miłość. Wzięli ślub i niedługo potem na świat przyszedł ich pierworodny syn, którego nazwali Talimas.

Pewnego dnia Talimas przyglądał się matce gotującej obiad. Było to do

niego niepodobne, bo zwykle większość czasu spędzał z ojcem w owczarni. Miał dopiero sześć lat i nie był zbyt ostrożny, choć wzrokiem sięgał nie wyżej niż ponad stół. W pewnym momencie, kierowany ciekawością, chwycił za krawędź garnka i chcąc zobaczyć, co jest w środku, ściągnął go sobie na głowę.

Anemeke wpadła w panikę. Podniosła krzyk, nie czekając na męża owinęła dziecko w nasączone zimną wodą ręczniki, a potem pobiegła w kierunku chaty miejscowego medyka. Była bardzo przestraszona i zmartwiona. Ku jej zdziwieniu, gdy medyk odwinął chłopca z okładów, okazało się, że Talimas nie ma nawet śladu poparzeń i jest tylko oblepiony parującymi kluskami. Medyk spytał więc:

— Po co tu przyszłaś, dobra kobieto? Przecież twój syn jest całkiem zdrowy. Wygląda tylko na przestraszonego, czemu się nie dziwię, bo wpadłaś tu ze strasznym krzykiem.

Anemeke z osłupieniem spoglądała to na syna, to na medyka, otwierając i zamykając usta. W końcu powiedziała:

— Mogę przysiąc, że przed chwilą mój syn wylał na siebie garnek wrzątku i darł się uniebogłosu. Zresztą sami widzicie, że ma na sobie kluski i wciąż jest cały mokry.

— Jesteś tego pewna? Mówimy tu o poważnej sprawie. Może woda była zimna? Albo to wszystko ci się przywidziało? No i możesz jeszcze kłamać.

— Jestem tego pewna. Woda była wrząca, a on ją na siebie wylał. A jeśli sugeruje pan, że kłamię, to mogę tu przyjść z mężem, który wszystko potwierdzi.

Medyk spojrzał jej głęboko w oczy, jakby chciał sprawdzić, czy mówi prawdę, wziął na ręce Talimasa i wyszedł. Ona ruszyła za nim. Mijali wiele budynków kierując się ku północnej części miasta. W końcu skręcili i weszli do dużej, lecz skromnie urządzonej chałupy. We wnętrzu unosił się zapach fajkowego ziela. Było tam wielu, rozmawiających z podekscytowaniem mężczyzn. Przebili się przez zbitą grupę mamroczących coś brodaczy i skierowali się ku drzwiom na końcu sali. Już dochodzili do nich, gdy do środka wpadł nagi mężczyzna, wyrwał kredę z ręki jakiegoś młodzikowi i zaczął pisać nią po ścianie, mówiąc:

— Siedziałem w wannie i myślałem, co by tu jeszcze wykombinować za twierdzenie o trójkącie, gdy nagle dotarło do mnie, że $E = mc^2$. Nieźle, co?

Cała sala wybuchnęła śmiechem. Ludzie wyzywali go od wariatów, durniów i błaznów.

— Nie, to nie! — krzyknął mężczyzna cały czerwony ze złości — Nigdy więcej wam o niczym nie powiem! Aha! Byłbym zapomniał! Potem przyślę kogoś, żeby zabrał ścianę z notatkami. A wy nigdy więcej nie proście mnie o żadne przysłowia — i wyszedł energicznym krokiem mruczając coś pod nosem.

— Kto to był? — spytała Anemeke.

— Pewnie jeden z filozofów. Ostatnio jest ich u nas wielu. Utrzymuje ich państwo w zamian za co oni układają przysłowia, reguły matematyczne itp. Czasami coś wynajdą. Jak dla mnie, to darmozjady — odpowiedział. — Ale teraz już chodźmy.

Weszli do niewielkiego pomieszczenia. Na podłodze siedział mężczyzna w długiej pomarańczowej szacie. Miał siwe, krzaczaste brwi i długą brodę. Nie przywitał ich, skinął tylko na medyka, który podszedł do niego i szepnął mu coś do ucha. Wtedy mędrzec streścił im historię klątwy i powiedział:

— Na razie chłopiec jest za młody. Niech przyjdzie tu w swoje piętnaste

urodziny — tu zwrócił się do Anemeke — Teraz nic więcej ci nie powiem. Ale proszę cię, abyś dla jego dobra dopilnowała terminu. Z góry dziękuję.

Gdy wracali do domu, matka była zaniepokojona i zła. Poza tym nie bardzo lubiła, kiedy ktoś dziękował jej z góry. To w jakiś sposób zobowiązywało ją do wykonania prośby. A ona, jak tylko mogła, unikała zobowiązań.

Od tamtej pory minęło dziewięć lat i nadszedł dzień piętnastych urodzin Talimasa. Jego dzieciństwo upłynęło w szczęściu. Rodzice nie uważali na niego zbyt, bo i tak nic mu się nie mogło stać. Spędzał więc dużo czasu poza domem i pewnie również dlatego był nad wiek dojrzały, wyrośnięty i silny. Ostatnio zaczął uczyć się na kowala w warsztacie przyjaciela swojego ojca. Matka uprzedzała go o rozmowie, która czeka go w dniu piętnastych urodzin. Przygotowywała go do konfrontacji z kłutwą już od dziecka, więc Talimas nie bał się tego, co go czeka. W dniu spotkania to jego rodzice byli bardziej przejęci od niego. Przed odejściem dostał od ojca duży, zdobiony runami topór z hebanowym, długim trzonem i czarnym ostrzem, a od matki zielony, sięgający ziemi płaszcz z kapturem i spore zawiniątko z prowiantem. Tak przygotowany szedł w kierunku chaty, w której po raz ostatni był dziewięć lat temu. Gdy doszedł, mędrzec czekał na niego przed drzwiami:

— Witaj, Talimasie. Wiele czasu upłynęło odkąd spotkaliśmy się tutaj — świadczyło o tym chociażby to, iż mężczyzna był jeszcze bardziej przygarbiony, a jego broda — jeszcze dłuższa i bardziej siwa — Tak. Minęło wiele czasu i wiele się zmieniło. Niestety, nie zmieniła się moja wiedza na temat zwalczania kłutwy, a jest ona i była niewielka. Mogę jedynie radzić ci, abyś udał się do Poltosa. Jest on władcą wszelkich wód Śródziemia. Mimo że jesteś jeszcze nieśmiertelny, to odczuwasz ból, a czeka cię długie nurkowanie na samo dno morza, bo tam mieszka Poltos. Ale nie martw się. Na wszystko znajdzie się lekarstwo. Przed nurkowaniem nazbieramy fioletowych niezapominajek. One złagodzą ból, choć spowodują również otępienie.

— A więc, dobrze. Wszystko to brzmi rozsądnie. Nie rozumiem tylko, dlaczego mam się udać do kogoś, kogo od reszty świata izoluje pięćset metrów wody. Co on może wiedzieć o mojej sprawie? — spytał Talimas.

— Poltos jest specyficzną istotą. Nie jest ani człowiekiem, ani elfem, ani żadnym innym znanym ci stworzeniem. Na świecie pierwsza była woda, a on jest właśnie wodą. Poza tym nigdy niczego nie zapomina.

Talimas wciąż miał jednak wątpliwości:

— Ale, jeśli nawet, to przecież całe życie spędził w jakiejś jaskini. Co on może wiedzieć o wydarzeniach na powierzchni?

Mędrzec się zdenerwował:

— Czy ty mnie masz za głupca? — krzyknął. — Gdyby nie było takiej potrzeby, to bym cię tam nie wysyłał, durniu. Wszystkie wody, strumienie i jeziora przynoszą mu wieści z całego świata. On wie o wszystkim, co się kiedykolwiek wydarzyło. Nikt nam nie może lepiej doradzić.

— Dobrze już, dobrze. Zgadzam się na wszystko, tylko przestań tak się emocjonować. Podsumujmy. Idziemy zbierać zioła, płynę na dno, pytam Poltosa, co mam robić, aby usunąć kłutwę, wracam tutaj, usuwam i mam na zawsze święty spokój.

— Takiej gwarancji dać ci nie mogę. Możliwe, że odczynienie uroku będzie kłopotliwe i czasochłonne.

Umówili się co do reszty szczegółów i ruszyli w kierunku brzegu Morza Rhun. Talimas sam się sobie dziwił, że jest taki spokojny. Był młody, pewny siebie i powodzenia swojej misji, a poza tym bardzo cieszyła go perspektywa opuszczenia rodzinnego miasta, w którym spędził całe życie. Tak rozmyśla-

jąc schodził wolnym krokiem po zielonych zboczach prowadzących na klify, a potem stał patrząc na odlatujące przed zimą ptaki, gdy mędrzec zbierał zioła. Cała reszta jakoś mu umknęła. Zjadł garść gorzkich płatków. Dostał jeszcze ich woreczek na drogę powrotną. Gdy wskoczył do wody, lek zaczął już działać i podróż wydawała się trwać jeden moment. Po prostu płynął. Kiedy dotknął dna, zobaczył mętne światło i ruszył w jego kierunku. Dotarł do niego. Nagle spadł na twarde skały i stracił przytomność.

Gdy się obudził, otaczała go jasna poświata. Światło było bezpośrednio od skał. Spojrzał do góry i nad sobą zobaczył wiszącą taflę wody. Przy swoich stopach zauważył niskie, zielonkawe stworzenie z wielkimi jak spodki oczami i haczykowatym nosem. Miało na sobie coś na kształt lnianej koszuli. Rękawy były pourywane, a brzeg okrycia sięgał do ziemi. Stwór powiedział:

— A więc jesteś, Talimasie. Nazywam się Ryszczyk. Ja i mój pan oczekiwaliśmy cię i oczekiwaliśmy — mówił wysokim, piskliwym głosem — Nie będę ukrywać, że się spóźniłeś. Oczekiwaliśmy cię równo dziewięć lat temu, kiedy to powinienesz być się zorientować, iż jesteś obciążony kłatwą. Chodź za mną.

Na chwilę przerwał, poczekał, aż Talimas ustanie, uszedł kawałek i podjął znowu:

— Dobrze, że Dantaj przysłał cię właśnie do nas. Jestem pewien, że mój pan znajdzie radę na twój problem.

Szli jeszcze chwilę w milczeniu. W końcu Ryszczyk wznowił rozmowę, jakby po przemyśleniu czegoś.

— Właściwie to nie tylko twój problem, ale i całej ludzkości. W końcu masz się stać największym i najokrutniejszym tyranem na świecie, a tego wszyscy woleli byśmy uniknąć, nieprawdaż?

— Fakt. Ale po pierwsze powiedz mi, kto to jest Dantaj?

— Dantaj to starzec, który cię tu przysłał. To dziwne, że ci się nie przedstawił. No, ale cóż — starość nie radość. Oho, już dochodzimy. — Wskazał na wielkie drewniane drzwi, które wyglądały na dawno nie otwierane. Podszedł do nich i popchnął je do środka. — Wchodź i pytaj, o co zechcesz — powiedział zachęcająco wskazując wewnątrz pomieszczenia.

Talimas wszedł. Znalazł się w wielkiej skalnej jaskini o idealnie gładkich ścianach, na których w odległości mniej więcej dwóch metrów od siebie porozmieszczane były małe naczynia, jakby misy, z których wydobywało się zimne, niebieskawozielone światło.

Gdy spojrzał w górę, na sklepieniu zobaczył tysiące otworów. Nad niektórymi z nich nachylały się ludzkie postacie z wiadrami. To były studnie. Na środku pomieszczenia znajdował się olbrzymi model Śródziemia. Był on niewiarygodnie dokładny. Gdy chłopiec przyjrzał się lepiej, mógł zobaczyć malutkie domki i chodzących wokoło nich ludzi. Kiedy dotknął jednego z nich, cała makieta zaczęła falować jak tafla wody, z której nagle wyłoniła się półprzezroczysta postać ludzka. Od czasu do czasu przepływała przez nią zbląkana rybka. Gdy istota przemówiła, jej głos nasuwał na myśl kapanie wody:

— Witaj! Jak pewnie się domyślasz, jestem Poltos. Przyszedłeś się zapewne spytać, jak zdjąć z siebie kłatwę.

Talimas przytaknął.

— Musisz wiedzieć, że to nie będzie łatwe. W lesie, przy brzegu naszego morza, rośnie niebieski kwiat. Jest tam już od dawna. Musisz go znaleźć i zerwać jeden płatek. Ale pamiętaj! Tylko jeden! Jeśli zerwiesz więcej, nic się nie uda. Kiedy już będziesz go miał, pójdziesz do Żelaznych Wzgórz.

Tam rośnie czerwony kwiat. Oprócz koloru nic nie różni go od pierwszego. Zrobisz to samo. Potem pójdziesz do Berien. Spotkasz tam elfa imieniem Savallen. Powołasz się na mnie i powiesz mu, że to ty jesteś obciążony klątwą, o której na pewno już słyszał. On da ci żółty płatek. Właściwie kolejność jest dowolna. Gdy zbierzesz wszystkie trzy, zamienią się one w dwa: czarny i biały. Wtedy utrzasz je ze sobą. Jeśli maść, którą uzyskasz, przybierze czarny kolor, to pozostanie ci tylko jedno. Zaś jeśli maść przybierze kolor biały, to klątwa się nie spełni. No i to by było tyle.

— Wszystko rozumiem i zgadzam się na to, bo wierzę w twoją mądrość i wiedzę, władco wód. Ale mówiłeś, że jeśli maź przybierze kolor czarny, to pozostaje mi tylko jedno. To znaczy, co? — spytał Talimas.

— Ryszczyk! — krzyknął Poltos — Przynieś mi woreczek z ziołami z mrocznej puszczy! Tymi, co tak strasznie śmierdzą!

— Dam ci zioła — zwrócił się znów do chłopca — które nawet u ciebie wywołają dożywotnią śpiączkę. Ale wiedz, że do niczego nie mogę cię zmusić. Weźmiesz je albo nie. Decyzja należy do ciebie. O, widzę, że zbliża się mój uniżony sługa.

W tym momencie do sali wszedł pomocnik Poltosa z małym woreczkiem w ręce i podał go Talimasowi.

— Aha, byłbym zapomniał. Ryszczyku! — tu zwrócił się do służącego — pójdziesz z tym oto chłopcem wszędzie tam, gdzie cię poprowadzi i będziesz spełniał wszystkie jego rozkazy. No, dobrze. Teraz zaprowadź swojego nowego pana do tunelu powietrznego. Zależy mi na tym, abyście wyruszyli jak najszybciej.

A gdy byli już przy drzwiach krzyknął jeszcze:

— I zaprowadź naszego gościa do skarbcza, niech sobie weźmie jedną dowolną rzecz.

Talimasa aż oślepiło, gdy przekroczył próg. Skarbiec był pełen przepysznych skarbów. Niestety, on mógł wybrać tylko jeden. Rozsądek wziął górę nad marzeniami i chłopiec wybrał kutą przez krasnoludów, lecz na ludzką miarę, kolczugę. Była lekka i wytrzymała, ale mało zdobna. Potem poszedł za Ryszczykiem w kierunku tunelu powietrznego wciąż się zastanawiając, co to takiego jest. Wszystko stało się oczywiste, gdy dotarli na miejsce. Okazało się, iż nazwa mówiła wszystko, co trzeba było wiedzieć na temat tego środka lokomocji. Było to coś podobnego do studni z tą różnicą, że zamiast wody na dnie była żelazna krata, a przez całą długość kamiennej rury wiał pionowo i z ogromną szybkością silny wiatr o zapachu stęchlizny. Talimas, w ślad za swym nowym towarzyszem, wszedł do tunelu i poczuł, jak ogromny pęd powietrza niesie go ku górze. Było zupełnie ciemno. Potem droga skręciła dwukrotnie i w końcu wypadli ze studni znajdującej się na środku małego dziedzińca.

— A więc tak to działa — pomyślał Talimas.

Gdy tylko znaleźli się na powierzchni, podszedł do nich smukły elf i ich przywitał:

— Witaj, Ryszczyku, bardzo miło mi cię widzieć znowu w Berien. Powiedz proszę, co sprowadza ciebie i twojego przyjaciela w nasze skromne progi?

Jednak Ryszczyk na powierzchni ziemi nie był już tak śmiały i pewny siebie. Teraz chował się za nogą swojego nowego pana i tylko wychylał się od czasu do czasu, by spojrzeć, co się dzieje. Obowiązek rozmowy spadł więc na Talimasa:

— A więc jesteśmy w Berien. — Tego dnia nic już nie mogło go zdziwić.

— Nazywam się Talimas, a to rzeczywiście jest Ryszczyk. Przyszliśmy do Savallena, z bardzo istotną sprawą. Zaprowadź nas do niego.

Rozmowa z panem domu nie była zbyt długa. Uradował się, że Talimas próbuje zmienić przeznaczenie i nie cieszy się z możliwości posiadania takiej potęgi, jaką może dać klątwa. Podarował mu złoty płatek i konie dla niego i jego sługi. Podziękowali i ruszyli w dalszą drogę.

— Dlaczego nie mogliśmy dalej podróżować za pomocą studni? — spytał chłopiec.

— Niestety, to działa tylko w jedną stronę. A co, spodobało ci się? — odpowiedział Ryszczyk.

— A czemu miało by mi się nie spodobać? W końcu nigdy nie zdarzyło mi się przemieszczać tak szybko. Myślę, że teraz wyruszymy w kierunku Żelaznych Wzgórz. U Savallena przeglądałem trochę map i myślę, że tak będzie najrozsądniej. A ty co o tym sądzisz?

— Zgadzam się z tobą, panie. Zresztą i tak poszedłbym wszędzie tam, gdzie ty.

— Po pierwsze, czy mógł byś przestać mówić do mnie „Panie” A po drugie — chciałbym się dowiedzieć, czym ty w ogóle jesteś?

Sługa wyrażnie się zmartwił:

— Nie widać? Jestem skrzatem. Tylko broda mi nie rośnie i jestem trochę mizerny. Ale to nie zmienia faktu, że jestem skrzatem z krwi i kości.

— Aha.

Tak na rozmowie mijała im podróż, aż po dwu tygodniach dotarli do Żelaznych Wzgórz. Tam szukali kwiatu i szukali. Niestety, góry były rozległe a kwiat mały. Mijały dzień po dniu, tydzień po tygodniu i nie było ani śladu kwiatu. A zima była coraz bliżej.

— Wiesz co, Ryszczyku?

— Nie.

— Czas płynie nieubłaganie, a zima coraz bliżej. Myślę, że powinniśmy zejść z gór i znaleźć jakieś schronienie. Poszukiwania wznowilibyśmy na wiosnę. Wiem, iż nie mamy wiele czasu, ale zostając tutaj narażam cię na zgubę. Co o tym sądzisz?

— Myślę, że to najrozsądniejsze co możemy zrobić. Poza tym nasze zapasy są już na wyczerpaniu, a noce stają się coraz uciążliwsze.

— Czyli, decyzja podjęta. Ruszajmy od razu.

I tak zeszli ze wzgórz po stromych zboczach. Gdy znaleźli się u podnóża, słońce chyliło się już ku zachodowi. Bardzo ucieszyło ich ciche szemranie strumyka. Dali odpocząć koniom, a sami podeszli do brzegu rzeczki i obmyli się z pyłu. Woda była chłodna, orzeźwiająca, więc pozwolili stopom trochę w niej odpocząć. Gdy byli gotowi do dalszej drogi, na miejscu słońca stał już księżyc. Skrzat chciał zostać na noc nad rzeką, ale Talimas nalegał, by iść dalej. Nie ujechali jednak stu metrów, gdy Ryszczyk wypatrzył na horyzoncie światła domu. Ruszyli więc w jego kierunku.

Chłopiec z zachłannością wpatrywał się w stojący przed nim talerz zupy.

— Widzę, że jesteście bardzo głodni. Nie krępujcie się. Jedzcie, ile który chce — powiedziała Firiona, starsza kobieta, pani tego domu. Była uśmiechnięta. Wyrażnie cieszyła ją niespodziewana wizyta. — Ale musicie wiedzieć, że w moim domu jedło i nocleg nie są darmowe. W zamian za nie będziecie musieli mi opowiedzieć, kim jesteście i co sprowadza was na to odludzie.

— O tak, jesteśmy bardzo głodni. Od kilku miesięcy żywiliśmy się tylko porzeczkami i innymi rzeczami, które można znaleźć na łąkach — mówił chłopiec zachłannie jedząc zupę.

— Ja jestem Talimas, a to mój towarzysz — Ryszczyk.

Skrzat skłonił głowę.

— Przybyliśmy aż tutaj, aby odczynić ciężącą na mnie klątwę.

Opowiedział kobiecie historię przekleństwa i to co musi zrobić, by ją odczynić. Firiona pokiwała tylko głową.

— A więc trudna misja przed tobą. Dość już rozmowy na dzisiaj. Jeśli się posiliście, proponuję, abyście udali się na spoczynek.

Weszli do sypialni. Były w niej dwa duże, rzeźbione łóżka, pomiędzy którymi stała szafka przyozdobiona wazonem pełnym kwiatów. Położyli się spać. Gdy wstali rano, chłopiec zauważył, iż jeden z kwiatów był większy od pozostałych. Był to drugi spośród trzech magicznych kwiatów. Talimas podszedł i zerwał jeden płatek.

— Skrzacie, mamy drugi płatek! — krzyknął — Teraz musimy szybko urócić nad morze i rozpocząć poszukiwania trzeciego kwiatu. Ruszajmy.

Zbiegli na dół, lecz nie mogli nigdzie znaleźć Firiony. Rozżaleni, że nie mogą jej podziękować za gościnę, wybiegli z domu, osiodłali konie i ruszyli w kierunku domu.

— Pyszny był ten gulasz, który nam podała — powiedział Ryszczyk.

— To była zupa, nie gulasz. Chyba od dawna nie wychodziłeś na powierzchnię.

— Zupa tak nie wygląda. Jedliśmy ziemniaki z sosem i kawałkami mięsa.

— Czegoś tu nie rozumiem. Ja jadłem moją ulubioną zupę, jaką zawsze gotowała mi moja matka, a ty jadłeś gulasz?

Jak na komendę obaj obrócili głowy w kierunku chaty, którą opuścili, ale tam nic nie było. Na jej miejscu była tylko udeptana trawa.

— Wiesz, co to mogło być? — spytał Talimas.

— Nie. I wolę nie wiedzieć. Od dziecka uczono mnie, że magia to nic dobrego.

— A mnie się wydaje, że ta była na wskroś dobra. Kiedy tak nagle pojawiliśmy się w Berien, myślałem, iż już nic mnie nie zdziwi. Ale los wciąż udowadnia mi, że się myliłem.

Podróż bardzo się im dłużyła. Po dwóch tygodniach natrafili na las. Rozciągał się jak okiem sięgnąć na północ i na południe. Aby nie nadłożyć zbyt dużo drogi postanowili przez niego przejechać. Okazało się to wielkim błędem. Im głębiej wjeżdżali w las, tym gęstsze było sklepienie i mniej światła się przez nie przedzierało. W końcu nie mogli już odróżnić dnia od nocy. Na domiar złego wciąż atakowały ich małe grupki orków. Topór Talimasa był już zdrowo stepiony. Całkowicie stracili poczucie upływającego czasu.

Tymczasem minęło już wiele miesięcy i nadszedł dzień spełnienia klątwy. Nagle, w ciemności pojawiło się światło. Promienie krążyły wokół Talimasa, gdy ten pośpiesznie szukał woreczka z trucizną. Jego złachmaniona szata zniknęła, na jej miejscu pojawił się długi, mieniący się wszystkimi odcieniami złota płaszcz. W dłoni chłopca pojawiła się wysoka, drewniana laska. Długie, brudne i poskręcane włosy, zrobiły się złote i wyprostowały się. Ryszczyk skrył się za pnem jednego z drzew, ale po chwili i ono uciekło. Robiło się coraz jaśniej. W powietrzu rozchodził się wysoki, wibrujący dźwięk.

Nagle wszystko ucichło. Talimas stał odmieniony po środku kręgu wypalonej ziemi.

— I co? — spytał drżącym głosem Ryszczyk.

— Chyba nic.

— Nie czujesz się może, jak nieczuły tyran?

— Ani trochę. Teraz to ja już nic nie rozumiem — powiedział chłopiec mrużąc oczy w blasku słońca.

— Nie rozumiesz? — zapytała kobieta w długiej, niebieskiej szacie.

— Kim jesteś? — spytał Talimas.

— Kłątwa. Pięćset dwa lata temu rzucił mną, tfu, przepraszam, mnie Bar. Pilnowałam twoich dziadów i pilnowałam ciebie od dnia twoich urodzin. Obserwowałam cię bardzo uważnie. Nie chciałam się spełniać. Gdybyś został tym nieczułym tyranem, to wszystkim kłátwom byłoby bardzo ciężko. Jak znam potężnych i złych, to pewnie byś nami miotał, na kogo popadnie. Długo szukałam pretekstu, żeby się nie mogła dopełnić. I znalazłam.

— Mam zbyt szlachetny profil! — krzyknął z zadowoleniem chłopiec — Od początku tak mówiłem, ale matka nie chciała mnie słuchać.

— Niezupełnie — powiedziała śmiertelnie poważnie Kłątwa — Może mój powód jest trochę schematyczny, ale cóż, nie można być wiecznie oryginalnym. A więc, wypełniłam się, ale nie całkowicie. Uzyskałeś wielką potęgę, ale twoje serce było zbyt czyste, by znikczemnieć. Po prostu zostałeś czarodziejem. I wszyscy są zadowoleni.

Rzeczywiście, wszyscy byli zadowoleni. Talimas i Ryszczyk zamieszkali razem i żyli długo i szczęśliwie. Oczywiście obaj znaleźli sobie żony i mieli dużo dzieci, które nigdy im się nawzajem nie myliły ze względu na spore różnice gabarytowe pomiędzy skrzatami i ludźmi. A dla mieszkańców Śródziemia, które teraz ma o jednego dobrego, potężnego czarodzieja ze szlachetnym profilem więcej, nastąpiły wspaniałe lata radości, dobrobytu i spokoju.

W następnym numerze:

- Łukasz Marasek, *Cnota grunt wszystkiemu*
- Paweł Piłat, *Sąd Ostateczny*
- Edyta Jarzab, *Wiersze*